

Ryszard Cieśluk

-1-

I/100 Archiwum Wschodnie 99

Rozmowa z panem Ryszardem Cieślukiem przeprowadzona we wsi
Protasy 2.04.1989.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jestem Ryszard Cieśluk, urodziłem się 11 kwietnia 1932 roku
w Zaciszu.

Najtrudniejsza jest odpowiedź na pytanie, za co nas wywieśli.
Albo za to, że ojciec był ochotnikiem wojskowym, z 1917 roku,
albo za kułactwo. Trzeba by Stalina chyba zapytać. Pamiętam,
że Żydzi chyba wiedzieli, że nas wywiozą. Późną jesienią, kie-
dy ludzie nie sprzedawali już bydła, to zabłudowskie Żydzi
namawiali ojca, żeby sprzedać krowę. Mówili: "Panu i tak nie
będzie potrzebna." Wiem też, że nadleśniczemu z Żedni, Niere-
szniczence, Żydzi mówili, żeby uciekał. Ale on uważał, że ni-
komu nic złego nie zrobił, to go nie wywiozą. A przecież on
miał możliwości, żeby uciec, był bogaty. Podejrzewam, że ten
Kuryłowicz, który przyszedł po nas z bojcem, jak i Żydzi, by-
li w Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Kuryłowicz
był bogatym człowiekiem, bogatszym od nas. Po wojnie wyjechał
do Rosji, chyba bał się tu być. Innych miejscowych, którzy wy-
wozili nas z Rosjanami, rozstrzelali Niemcy. Jakaś jego krew-
na pisała do nas listy, że gdy tylko przekroczył granicę, za-
brali mu wszystko i wzięli go do więzienia.

10 lutego o piątej rano przyszli po nas. To było nawet późno,
bo nie mogli do nas trafić, błądzili. Do innych przychodzili
o czwartej, a nawet jeszcze wcześniej. Przecież wywieśli ca-
łą wieś. Przyszedł do nas bojec, prawdopodobnie w stopniu lej-
tynanta, i miejscowy, Kuryłowicz ze wsi Kamionka. Postawili
ojca z rękoma do góry pod ścianą. Zrewidowali dom. Kazali nam
ubierać się i brać piły i siekiery. Wiedzieli, że nas do taj-
gi powiozą. Nie pozwolili brać dużo ubrań. Wzięliśmy pud maki,

kartofli, pościel. Ale kartofle i makę zabrali na stacji, nie pozwolili wziąć do wagonu. Rosjanin odnosił się do nas dobrze, a ten Polak siedział cały czas nachmurzony. Kiedy my zajechaliśmy na drogę do Białegostoku, matka poprosiła lejtnanta, żeby nas puścił, przynajmniej dzieci. Ale nie zgodził się.

W Żedni wsadzili nas do wagonu. Wagonów było parę, ludzie siedzieli już w środku. Później zawieźli nas do Białegostoku.

Dołączali wagony, tak że było ich później chyba 70. Ciągnęły nas dwie lokomotywy. W wagonie były prycze. Siedziałem zawsze na górnej pryczy, tam spały dzieci. Było nas tak dużo, że spali wszyscy na kupie. Dorośli siedzieli na podłodze. W wagonie było chyba 10 rodzin. Ojca strzeżok wybrał starostą wagonu.

Ale chyba dlatego, że ojciec był łysy i rzucał się w oczy.

Wieźli nas bardzo szybko. Jak pociąg stawał to wołali z wagonu dwóch ludzi "za wodą, za supem". Czasem w zupie pływała kiełbasa, chyba końska. Do zupy dawali kawałek chleba. Ale z jedzeniem nie było źle, bo ludzie trochę ze sobą wzięli. W czasie podróży nie odczuwałem głodu. W wagonie był piecyk, ale nie grzał dobrze, było zimno. W podłodze była wycięta dziura na kibel.

Na miejsce dojechaliśmy 4 marca. Kazali nam wychodzić i ciężarówką zawieźli nas na Toporek. To wywożenie było dobrze, jak na Ruskich, zorganizowane. Nawet mieliśmy z góry przeznaczoną kajutę w baraku. W baraku były 24 rodziny. Kajuty były bez drzwi, przegrodzone nie ścianą, ale płotem. O dziwo była też elektryczność z tartaku, ale się rzadko paliła. Nad płotem wisiała jedna żarówka na dwie kajuty. Były chyba dwa piece na korytarzu. Baraki były po ruskich zakluczonych, których przerzucili w inne miejsce. Byliśmy tam pod strażą NKWD. Nie wolno nam było iść do innej miejscowości i do nas nie mogli

przychodzić. Ale do nas przyjechał na nartach człowiek z kołchozu i sprzedawał mleko. Miał te mleko zamrożone, w worku. Rozglądał się przez cały czas, żeby komendant nie nadleciał. Do Toporka przysłali nam jedną paczkę z Polski. Masło, pieniądze.

W październiku kobiety zbierały się na różaniec. Komendant, Pugaczow, biegał i nie pozwalał się zbierać. Pamiętam, że krzyczał, wyjmował nagana i straszył kobiety.

Później przychodzili do nas ruskie "zakluczone", którym zostało już mało z wyroku i mogli chodzić. Pamiętam jak dorośli pytali takiego więźnia, za co on siedział. Mówił, że siedział za lenistwo. Popił z kimś i popsłoczyli na władzę, na Stalina. Kiedy wrócił do domu było późno i chciał o tym rano zameldować. A ten z którym rozmawiał, nie był leniwy i od razu zameldował. I za to ten leniwy poszedł do więzienia.

W Toporku ludzie pracowali w lesie. Ojciec pracował tam z koniami. W barakach były straszne pluskwy i tarakany. Na lato my budowali z desek takie budki, żeby w nich spać. Nam wydawało się, że z jedzeniem jest źle, ale później było jeszcze gorzej. Ze stożówki dostawali owsiankę, pół na pół z wodą. Trochę jedzenia było jeszcze ze sobą, z domu. Tam zacząłem też chodzić do rosyjskiej szkoły.

Z Toporka zawieźli nas furami na Dolne Udaczne. Wieźli nas chyba te zakluczone, którzy mogli już chodzić. W Udacznej były nowe baraki z desek, ocieplone trocinami. Kajuty były poprzegradzane ścianami, miały drzwi. W baraku było chyba 16 kajut. My sami robili tam sobie prycze. Chyba każdy miał piec w kajucie. W Udacznym było 12 baraków. Byliśmy tam pod nadzorem NKWD. Z nami przenieśli tam Pugaczowa, tego, który ganiał kobiety w Toporku. Okazało się, że on był dobry człowiek. Krzy-

czał, bo musiał swoje zrobić. Waczelnikiem na Udacznej był Sorokin. Ojciec zaznajomił się z nim. Nawet chodził mu krowę zabić, bo on sam nie dał rady tego zrobić.

Tam też zacząłem chodzić do ruskiej szkoły, kilka kilometrów pod górkę, do Górnej Udacznej. Szkoła była w baraku. Pamiętam stamtąd kilku nauczycieli. Na jednego wołaliśmy "Żyd", albo "dzietdomiec". Nam zabronili tak mówić. Mówili: "Nie Żyd, a Jewriej". To my sobie ułożyli: "Nie gawaryj Żyd, gawaryj Jewriej, padochnie skorej". Nie było tam polskich nauczycieli. Mówili nam tam ciągle, że nie ma Boga. Pamiętam była tam zabawa, chyba choinka. Ustawili nas w kółko i kazali krzyczeć: "Boh, daj chleba!" Mówili, że nie widzimy chleba, że nie dał. A potem: "Stalin daj!", i przynieśli cukierki.

W Dolnym Udacznym ojciec też woził drzewo z lasu. Czasem pomagałem ojcu. Jeździli my po luźniówkach. To były takie tory z przepikowanych na pół bali, ułożone żeby po nich jechał wóz konny. Z jedzeniem było tam coraz gorzej. Na początku dawali po 200 gram chleba dla niepracującego i pół kilo dla pracujących. W Dolnej Udacznej nie było stołówki. Wszystko, stołówka i koniusznia, było na Górnej Udacznej. W tym czasie zrobiliśmy sobie ogród. Ziemia była po tajdze. Trudno ją było nawet kopać szpadlem.

Nie było tam żadnej opieki lekarskiej. Ludzi opanowała wtedy ślepotą. Na to lekarstwem, to była watroba. Jak ją zdobyli, to nawet w dziesięciu trzymali oczy nad parą z niej. Często widziałem, że dziesięć osób idzie, a jeden co widzi prowadzi ich. To było szczególnie wieczorem. Ludzie chorowali też na dezynterię, były zatrucia grzybami. Ludzie jedli pokrzywę i lebiodę. Lebioda była smaczniejsza, ale od niej była biegunka. Były też wypadki ukąszenia przez żmije. Ludzie jedli ce-

bulki kwiatów. Zwierzyny tam nie było.

Pamiętam, że w tym czasie Sikorski zawarł umowę ze Stalinem i Polacy szli na ochotnika do wojska.

Potem przenieśliśmy się do Górnej Udacznej, a później, na własne życzenie do Kwitka. Ojciec pracował tam w straży ogniowej, czasami pasł koni. Ja też pracowałem z nim. Parę miesięcy jeździłem koniami z tartaku do kolei. Później, kiedy powstał ZPP, to Rosjanie pobrali wszystkich mężczyzn do wojska. To był normalny pobór. Każdemu przysłali "powiastki" i ludzie musieli iść. Ojciec nie poszedł, bo w pierwszej wojnie miał przestrzeloną rękę. Ludzie nie szli chętnie. Nigdzie nie idą chętnie na pobór, a szczególnie jak wojna trwa. Jak kto nie szedł, to do więzienia zabierali. Przedstawicielem miejscowego koła ZPP był pan Jarząbowicz. Prowadził zebrania, ludzie nazywali go "pieskiem". Chodziłem tam do szkoły ZPP. Nie było tam lekcji religii, był język rosyjski. Nauczyciele podlegali dla rosyjskiego kuratorium. Pamiętam, że raz dzieci zebrali się na choinkę i nauczycielka, Chruścielewska, pytała czy chcemy jechać do Polski. Dzieci odpowiedzieli, że tak, że tam jest co jeść. Ona odpowiedziała, że jak skończy się wojna to tu też będzie co jeść, ale Polska to nasz kraj, nasza ojczyzna.

Kiedy powstał ZPP, wcale nie było lepiej z życiem. Było strasznie, jak ja pamiętam. Człowiek chwiał się tylko w tej koszu-lince, a wszędzie na nim siedziały wszy. Przecież prac nie było czym. Matka prała w ługu, ale wszy były cały czas. Wtedy dawali nam już po 100 gram chleba. Ludzie brali chleb co drugi dzień. My tam chowaliśmy króliki, ale ludzie kradli mocno. Pamiętam, że chłopaki prowadzili tam wojnę z ruskim pasiołkiem. Rzucali kamieniami do siebie. To było przez parę dni. Później

na Żłotą Górę przywieźli "dzietdomców" z poprawczaka. Oni chodzili na przepustki i ich zaczepiali polskie chłopaki. Jednego kiedyś zbili i oni sobie ubzdurali, że pójdą na Polaków. Zabrali kosiarzom kosy i do nas. Był duży strach, Polacy zamykali baraki. Ale my polecieli po pomoc do ruskich wojskowych, też zesłanych, co mieszkali koło nas. Ich paru wyszło i ci ze Żłotej Górki wycofali się. Ci wojskowi dostali się do niewoli i byli w strefie alianckiej. Tam byli chyba rok czasu. Mieli angielskie mundury, pracowali tam, mieli narzeczone. Ale propagatorzy namówili ich, żeby wracali do Rosji. Przywieźli ich do Odessy. Tam musieli wszystko zostawić i poszli do Łaźni. Stamtąd przywieźli ich na Syberię. Mieliśmy szczęście, że oni byli. Ale później oni też zdziadzieli, zaczęli umierać. Między Polakami to było straszne donosicielstwo. W jedno lato pojechaliśmy przywieźć siano dla kobiet co miały krowy. Nie wolno było tego robić. Ale ojciec dobrze był z naczelnikiem straży ogniowej, z Marczenką, i dostał od niego konia. Jedziemy w nocy z tym sianem, a trzeba było przejeżdżać koło głównego naczelnika, Siemionowa, i on wyszedł do nas. Doniósł o tym jemu syn piekarza. A przecież miał chleba pod dostatkiem. Te donosicielstwo między Polakami, to chyba było szawne. Niby każdy ratuje się sam, ale...

Ludzie podrabiali i kradli kartki na chleb. Ale tam jak nie będziesz kradł, to nie będziesz jadł. Ojciec, jak pracował przy koniach, to przynosił całe walonki zboża. Kiedyś, kiedy gajowy z Żedni, Miereszniczenko, wrócił z więzienia, choć to człowiek bardzo dobry i solidny, to ojciec namówił go, żeby poszli do stogu wybierać zboże. Złapali ich tam i zaprowadzili do kołchozu. Spisał ich tam enkawudzista, ale potem nic im nie zrobili. Ludzie chodzili tam na kłosa, kradli kapustę. Jedna kobieta dostała za to dwa lata więzienia. Kiedyś poszliśmy

z kolegą, Jankiem Białowąsem, kraść marchew. Patrzym, nie wid-
ać strażnika, to my dalej rwać tę marchew. A on wyszedł zza
stoga i strzelił do nas, ale chybił. Chodził ja też kraść ka-
pustę. Dla strażnika dał dwie skórki z królika i kiedy ja szedł
w kapustę, to on szedł w drugą stronę. Kiedy kapusta była już
w magazynie, my też poszli tam kraść. Magazynier zobaczył nas
i złapał kilku. Ja uciekał i wpadł do pustej beczki. Beczka
była duża, ale na szczęście w środku leżały jakieś nosidła i
po nich ja mógł wyjść. Tym co złapał, magazynier chyba nic nie
zrobił. Ale Polacy na stanowiskach nie byli dobrzy dla innych.
Chcieli się na tych stanowiskach utrzymać. Pamiętam też, że
wiosną, jak wybierali ziemniaki z piwnicy, to magazynier za-
mykał tam kobiety, żeby ze sobą nic nie wynosiły. I one, po-
wiem po prostu, tam srali. A później te przegniłe kartofli z
tym wszystkim wywalali. A my w tych kartoflach grzebali. Lu-
dzie jedli też nasiona z szyszek cedru. My chowaliśmy króli-
ki i za ich skóry dostawali mąkę.

Byli tam nie tylko Polacy. Do Kwitka przywieźli też Finów s-
pod Leningradu. Oni mówili, że nawet gdyby mogli, nie mieli
by tam po co wracać. Jedna Finka powiedziała, że zjadła tam
(w Leningradzie) swoje dziecko. Pamiętam też, jak małe dziec-
ko jakiejś Finki krzyczało w baraku parę dni do mamy i zmar-
ło z głodu. Z głodu zmarł też mój kolega chory na padaczkę.
Jak umierał, to cały czas mówił: "Stalin dupa". I tak dobrze,
że tego nikt nie posłuchał, nie doniósł, bo jego matka by po-
szła do więzienia.

Na Dolną Udaczna przywieźli też jeńców ukraińskich, chyba z
UZA. Oni uciekali stamtąd. Raz my zbierali w lesie dziki czos-
nek i zobaczyli tych Ukraińców. Kiedy szli z powrotem, to zo-
baczyli, że ich szukają strielki. Pytali nas o nich, ale my

powiedzieli, że nie widzieli ich. Później Ukraińców stamtąd zabrali i przywieźli Japończyków. Nawet handlowałem z nimi. Przywozili im ryż i mąkę. Raz matka poszła nazbierać trochę tego ryżu. Później ja też tam zachodzę i mnie złapali strielki. Złapali też matkę i trochę ludzi. Pilnował nas Japończyk. Później wypuścili nas, ale zabrali worek i ryż. Ale ojciec wziął papierosy i za to bojce oddał worek. Bojcy tam strasznie za wódką patrzyli. Ojciec za wódkę dostał worek ryżu. Jak kto miał wódkę, to dostał za to wszystko. Wódkę dawali tam w nagrodę.

Mój ojciec pracował też jako stróż na tartaku. Raz przyjechał tam obłastny inspektor NKWD i przyszedł do ojca pogrześć się. Ojciec zapytał jego, co to za władza jest tu u nich. On odpowiedział, że w Rosji jest "imperializm jęwriejski, do komunizmu i za sto lat nie dajdiom".

Do Kwitka przyjechał kiedyś Światko. Wtedy my już tam dłużej byli, zagospodarowali się. W tym roku planowali, że starczy kartofli na zimę. Ale on przyjechał i powiedział, że nas wszystkich na zachód wywożą z tych mrozów. I ludzie jedli kartofle "skolko ugodno", nie oszczędzali. A później odwołali wyjazd i znów był głód. Jak to było z wyjazdem do Polski nie pamiętam. Ale myśmy wiedzieli o tym chyba parę miesięcy. Przyszli do nas duże wagony, pullmany. Sami robiliśmy do nich prycze. Ludzie wyjeżdżali według listy. Wszyscy jechali zadowolone, jak w niebie, bo cały czas obawiali się, że to może być odwołane. Tam byli Polacy jeszcze od 1917 roku, ale nie mogli wyjechać. Jedna kobieta wzięła nawet ślub z mężem nauczycielki Dorywalskiej (Dorywalska umarła, zatruta się grzybami), ale nie puścili jej. Została też rodzina Niereszniczenków, bo oni byli Ukraińcy. Nie puścili też tych Polaków, co podali się za

Białorusinów. Wagony nie były już strzeżone. Powieźli nas do Swierdłowska. Tam ja z chłopakami poszedł na miasto, nawet tam zabłądził. Jeździli my tam tramwajami. Ja miał nieniecką marynarkę ze swastyką, zdartą, ale na materiale było widać ślad. Ludzie patrzyli na nas. Potem powieźli nas do Moskwy. Tam zaprowadzili nas do Łaźni. Dalej pojechali przez Smoleńsk, Brześć. W Brześciu stali długo. Tamte dy jechali też do Pols-ki repatrianci, Żydzi. Pracowali tam na torach jeńcy niemiec-cy. Jeden przybłąkał się do nas, zabłądził chyba. Ten co pil-nował ich strzelił do niego i zabił.

Potem przywieźli nas do Małkini. Tam odczepili chyba 10 wago-ny, tych co chcieli jechać do Białegostoku, i przywieźli nas tutaj. W Białymstoku spotkaliśmy daleką krewną, która praco-wała w Czerwonym Krzyżu. Ona mówiła, że wszystko załatwi, że-by my szybciej stąd jechali. Temu nie mamy nawet karty repat-riacyjnej. Ojciec pobiegł na rynek, na Piaski. Znalazł tam człowieka z sąsiedniej wsi i ja z siostrą pojechali z nim do krewnych, do Protas. Krewni myśleli, że jesteśmy żebraki, nie poznali nas. Później my wszyscy pojechali na Zacisze, do do-mu gdzie tymczasowo gospodarzyła siostra matki. Nie było tam gdzie mieszkać, całą zimę my tam spali na sianie.

Jak ja wyjechał, miał siedem lat. Przyjechał taki sam. Tylko, że głowę miałem takiej wielkości jak teraz i dłonie. Dopiero po paru latach wyrósł. Siostra matki bała się, że będę karzeł. Miał 13 lat, a wyglądał najwyżej na 8. Nawet zęby mi nie uros-ły.

W Rosji ludzie są dobrzy. A władza? Nawet miejscowi gadali, że Hitler zwyciężył by Rosję, gdyby nie zabijał ich tak w o-bozach. Żeby ich traktował normalnie. Nikt by nie pomógł. Tak mieli tego dosyć.